

Żółta łódź podwodna

Z „*Science Fiction*” nr 16 – lipiec 2002

Matowi rezerwy Michaiłowi Trocinowi

Jakoś tak w „Onegdaj” - to taki programik w telewizji - pokazali słynny angielski dom aukcyjny Sotheby's. Na aukcję w nim pewna niepoczyszona japońska wdówka wystawiła manele po swoim niezapomnianym mężu - pewnie, żeby mieć za co stypę wyprawić. Dwie pary skarpet, sweterek z jeleniem, okulary z jednym szkiełkiem... wstyd. I nagle - rety! Ja, chłopcy, aż się spościłem: wśród tych wszystkich resztek niczym drogi kamień objawiła się pewna bardzo dobrze mi znana rzecz. Ale jak miała mi być nieznaną, skoro było to dzieło moich rąk? Dzieło, które wypłynęło i zaginęło w dżungli showbiznesu.

Ja, kretyn, myślałem, że on ją wyrzucił na pierwszy lepszy liverpoolski śmietnik...

Kto kupił, za ile, i czy w ogóle jakiś dupiek kupił - nie powiedzieli. To był tylko taki krótki newsik. Ale gdybym ja tego dnia znalazł się w Londynie - wszystkie swoje funciaki z konta bym wycofał i gadżecik z cudzych łap wykupił.

A potem przycisnąłbym go do piersi i się rozplakał ze szczęścia...

Zaczął się to wszystko w fatalnie pamiętnym sześćdziesiątym ósmym, kiedy orałem trzeci rok na atomowej łodzi „Komsomolec Mordowii”. O tym, co się stało tego lata, jeszcze nie wolno mi paplać; powiem tylko, że dowcip „Kto rzucił but na pulpit?!” w pewnych sytuacjach wcale nie jest taki śmieszny. W sumie - wszystko było jak w piosence: i zagajnik płonął, i świeciła spadająca rakietka... i zostało nas tylko trzech. Ale nie zapamiętał uratowany świat swego zbawcy, albowiem nigdy niczego dobrego nie pamięta. Zresztą - może to i niepoważne wielbić jako zbawcę rudego uszatego faceta o nazwisku Załupynos, radioamatora spod Krzywego Rogu, z kołchozu „Wielkie Problemy”. A on ci może i był amatorem, ale zrobił to, czego nasi oficerowie, po wyższych studiach na renomowanych uczelniach, zrobić nie dali rady... On po prostu nie wiedział, że tego robić nie wolno, dlatego mu się udało. Sam przy tym nic nie skorzystał, nawet nie odleciał jak kowal Wakuła na diable...

Ech, żeby nie jego ignorancja, gdzie byście teraz byli, mądrze wszyscy. A i my z wami też...

Leżymy więc sobie, już po wszystkim, w szpitalu, oddzielny pokój dla naszej trójki. Wyżywienie - marzenie! Marynarzy z łodzi podwodnych zawsze karmiono jakby na ubój szli (przykładowo, na przycumowaną łódź obiady były dowożone z restauracji „Praga”, więc nieźle, nie?), ale w szpitalu to nawet nas zadziwili... Ja to do dzisiaj na wiele z tego nie mogę sobie pozwolić... Telewizor w pokoju mieliśmy, dzienniki sobie oglądamy, „Sagę rodu Forsythe'ów” albo Chór Ludowy z Archangielska... Potem ten, „Leninowski uniwersytet milionów”... Wiecie, jak jest - nie osiągniesz, nie wyłączysz...

I przyszedł admirał floty Kabakow, postać całkowicie legendarna.

Wiele można o nim powiedzieć, ale to materiał na zupełnie inną książkę... Sama broda admirała - jak trzy rozdziały z tej książki... Wiecznie gdzieś ją pakował...

I przysiadł ci on na łóżku Tolika, naszego Załupynosa - a temu spod bandaży tylko jedno oko wystawało, to utrudzone obserwowaniem rodzinnych konfliktów Forsythe'ów - brodę na bok odsuwa i powiada:

- Dziękuję ci, synu, żeś zapobiegł nadzwyczajnej sytuacji w czasie dyżuru bojowego. Bo mielibyśmy w raketowo-jądrowej tarczy naszej Ojczyzny dziurę od Kaliningradu do Dicksona. Dowództwo będzie o tym pamiętało. Proś o co chcesz.

Tolik gadać mógł, Ukraińcowi pyska ot tak nie zamkniesz, ale tu - zbaraniał. Tylko palcami pokazuje - paski, że niby pasków chce.

- To wiadomo - machnął ręką admirał. - Będziesz miczmanem i przedstawimy cię do „Czerwonego Bojowego”. Ale ty proś o coś dla duszy, dla duszy...

I Tolik poprosił. Ale tak poprosił, że admirał kwęknął i się spiętrzył.

- Chcę - powiada nasz radioamator - zanim umrę, Beatlesów na żywo posłuchać...

(Pielęgniarki potem opowiadały, że przez cały miesiąc admirał dzwonił po dwa razy dziennie: nie umarł aby Tolik nasz. Ale nie umarł. I my też nie.)

- Zobaczysz, synu - powiedział admirał twardo, wstał, zsalutował i wyszedł krokiem defiladowym.

* * *

Minał niemal rok. Wyzdrowieliśmy, wróciliśmy do załogi. Nawet żeśmy wyszli na rejs autonomiczny. Wesoło było podczas tego rejsu, bo widocznie cywile Rosjanie i Ukraińcy, tworzący dotąd szkielet wojsk raketowo-jądrowych, się skończyli. Pewnie za dużo tych łódek narobili. No to teraz dawali na łodzi Tatarów. Ale miejscy wykształceni Tatarzy wszyscy mają plarfusa i wrzody żołądka, dlatego ogłosili pobór po nadwołżańskich stepach i zaciągnęli pastuchów i pomocników ichnich. A ci nie potrafili opanować jednej z najważniejszych dziedzin życia w rejsie. Chodzi o to, że kibel w łodzi podwodnej jest nie tylko miejscem, gdzie marynarz z radością załatwia naturalne potrzeby organizmu, ale jest on również skomplikowanym urządzeniem hydraulicznym. Jak pod krzakiem siedzisz to sprawa prosta - wstajesz i idziesz; w domu z waterklozetem już nieco gorzej: trzeba pociągnąć za łańcuszek i skontrolować proces; w samolocie czy w pociągu - naciska się na pedał. Na łodzi podwodnej pedał też jest, ale zanim się go naciśnie, trzeba zamknąć pokrywę muszli i zakręcić ją na cztery mutry motylkowe. Co drugi marynarz pierwszorocznik to rozumie i robi wszystko jak trzeba, nie wzniecając pretensji kolegów. Ale pozostali mają z tym problemy. No więc ten kontyngent usiłował załatwić problem trojako: nie splukiwać wcale (za co byli poddawani, jak mawiał bosman Tremba, „ostracyzmowi”); splukiwali przy otwartej klapie; splukiwali przy zamkniętej klapie, polegając na przyciśnięciu nogą... Ale co tam nacisk jednej ludzkiej nogi przeciwko pięciu atmosferom systemu przedmuchiwania? Tak więc kontyngent przez połowę rejsu zajmował się tylko tym, że czyścił po sobie kibele szczotkami do zębów i igłami, a nie było to absurdałne zupackie znęcanie się, tylko okrutna marynarska konieczność, albowiem produkt wtórny, że tak powiem, przy pięciu atmosferach na wyjściu wpada do każdziutkiej szczelinki, odoryzując za pomocą systemu wentylacji wszystkie sektory i pokłady...

Z drugiej zaś strony, jeśli podczas całego rejsu nie zdarzy się taki incydent, uważa się to za zły omen. Tak więc mieliśmy przewspaniałe perspektywy.

Ale od gówna wróćmy do Beatlesów.

Tolik, oczywiście, był przedmiotem kpinek i podpuch. Wszyscy rozumieliśmy, że admirał palnął coś w pośpiechu, bez namysłu i z dobrego serca, ponieważ utajnionego marynarza nikt do Ameryki nie wypuści, nawet zalutowanego w ołowianej trumnie, z kneblem w ustach i w towarzystwie wielkiego chóru snajperów Dziewiątego Zarządu Głównego KGB pod dyрекcją Nikity Karacupy i jego wiernego psa Ingusa, który tak naprawdę wabił się Hindus, ale imię to zawsze było zmieniane na Ingus, żeby nie obraził się Jawaharlal Nehru. Tolik nie mógłby trafić na koncert, nawet gdyby odbył się na terenie ambasady radzieckiej w warunkach okupacji USA przez zjednoczone siły krajów Układu Warszawskiego, Wietnamu i Kuby. I oto, mając tego świadomość, wypracowaliśmy z nudów plan ściągnięcia Beatlesów na terytorium ZSRR. Że niby tak - siedzi sobie admirał w gabinecie i swoją generalską ręką wypisuje wezwania do poboru dla Lennona, McCartneya, Ringo Starra i Ge-orge'a Harrisona, na których to wezwaniach stoi jak byk, że w razie niestawiennictwa zostaną dostarczeni. Potem dodawałem, że Beatlesi w WKU na razie się nie stawili, ale już się ostrzygli na zero. Ale Tolik był już prawie oficerem, i nie zamierzał za te żarty obrażać się na mata, bo to by było poniżej jego, oficerskiej już prawie, godności. Chociaż podczas autonomicznego rejsu, żebyście wiedzieli, nie ma żadnych stopni, wszyscy się do siebie odzywają z imienia i patronimiku przy oficjalnych okazjach, a kiedy jest nieoficjalnie, to tylko po imieniu.

Tymczasem ci oficerowie, których zbzcześcił swym działaniem Tolik, ci, którzy obsługiwali arytmetyczno-obliczeniową maszynę „Stawropol-Izumrud”, posiali w jego duszy zatrute ziarno; pomysł, że po wyjściu do rezerwy zda nie byle gdzie, tylko do Moskiewskiego Państwowego Instytutu Ministerstwa Obrony. Angielski już znasz, mówili mu, doświadczenie w ratowaniu ludzkości od koszmaru wojny atomowej - masz... Będziesz attache wojskowym, a potem może i konsulem... Kto wtedy zabroni konsulowi z żoną i wnukami pójść na koncert The Beatles?

W tym momencie i ja dolałem oliwy do ognia: - Wyobraź sobie, Tolik, gdzieś tak osiemdziesiąty piąty rok. Nie, lepiej osiemdziesiąty szósty, rok Dwudziestego Siódmego Zjazdu i nowych decydujących sukcesów. A ty, konsul Związku Radzieckiego w Socjalistycznej Republice Meksyku, przyjeżdżasz jako delegat na Zjazd z głosem decydującym. Otrzymujesz, bracie, prezenty: czapkę z rena, teczkę z krokodylęj skóry, malachitowe wieczne pióro ze złotą stalówką, produkcji Leningradzkiej Fabryki Nadzwyczaj Precyzyjnej Aparatury. I kopertę z pieniędzmi, a w niej rubli co najmniej trzysta. Ty tę kopertkę sobie bierzesz i tak niedbale wsuwasz do bocznej kieszeni. No i wiesz, odbywa się Zjazd. Pionierzy wiersze Michałkowa z pamięci sypią, na czekoladowe cukierki już patrzeć nie mogą. Burzliwe aprobujące oklaski, przechodzące w owacje - takie, że w patrolujących stratosferę bezgłośnych samolotach słycać. A ciebie nagle nachodzi ochota odwiedzić ojcowiznę, kumpli zobaczyć. A żonę masz - ba! Siostrzenica ministra

spraw zagranicznych Gromyki, solistka Teatru Wielkiego. Taka na wieś nie pojedzie. No to bierzesz z kremlowskiego garażu służbową czajkę z szoferem, ładujesz na nią ze służbowego wejścia do Jelisiejewskich Delikatesów frykasy - i startujesz. Przyjeżdżasz pod Pienię do wsi Molabucha w powiecie wierchnielandiochańskim, do kołchozu „Jawa Leninizmu”, wcześniej „Mrzonki Iljicza”. Do tego czasu wszystkie wsie już będą wyasfaltowane, z latarniami i drogowskazami. I widzisz pośród białych willi z pawiami i belwederami krzywą taką chałupę. A już pędzi ci na spotkanie przewodniczący, a za nim księgowy z agronomem i liczydłem, sekretarz organizacji partyjnej z protokołem - a ty ich tak niedbale pytasz: „A gdzie tu mat, żołnierz wzorowy co do wyszkolenia i przygotowania politycznego, Sieniawkin Dmitrij Nikołajewicz mieszka, co?” A przewodniczący potyka się, zaczyna nóżką w ziemi dłubać i zaprasza ciebie do pałacu kultury i wypoczynku na bankiet z okazji rozpoczęcia siewu wiosennego. A ty go nagle ponownie zapytywujesz: „Gdzież to koleś mój, Sieniawkin Dmitrij Nikołajewicz mieszka?” A ten zaprasza cię na otwarcie kołchozowego ogrodu zoologicznego na półtora tysiąca głów bydła rogatego, trzody, zwierzyny drobnej i drapieżnej hodowlanej oraz ptactwa. W tym momencie puszcza ci hamulce, objeżdżasz go już zapomnianymi i obraźliwymi słowami oraz drzesz się: „Gdzie Dimka? Gdzieście Dimkę schowali, muflony jedne?” I tu partorg zalewa się czerwoną farbą i na tę ciemną chawirę pokazuje. Odsuwasz wszystkich ramieniem i odważnie podchodzisz, i stukasz we wrota. A one się walą.

I ja słyszę ten dźwięk, otwieram palcami oczy i wychodzę popatrzeć, kto zacz. I wydaje się mnie, skacowanemu, że z powiatu pełnomocnicy przyjechali likwidować mnie jako klasę. A na środku podwórka mam kałużę, z której peryskop wystaje - samowar się tam utopił po pijaku. Tak więc idę ci ja, cały w podkoszulku, tu dziurka przepalona, tam nożem chłaśnięta... i zaczyna przez mgłę świadomości przebijać mi się znajomy kontur... Przewodniczący... partorg... agronom... księgowy... i z nimi ktoś tam piąty, solidny gość, jak niszczyciel „Niewyspowiadany” między czółnami wypełnionymi mierzwą. Patrę ci ja na ten niszczyciel i zaczynam rozumieć, że już się chyba dopiłem, bo oto stoisz przede mną ty, Tolik, w dwurzędowym gabardynowym garniturze partyjnym (ale spodnie i tak odrobinę, ale po marynarSKU - w kłosz przechodzą!), w kapeluszu i z muszką. A tu ci dokoła gąsior łązi i ciągle usiłuje ciebie za portki schwytać swoim brudnym dziobkiem, którym chwilę wcześniej w gnojowniku grzebał. Nie wytrzymałem ci ja, widły złapałem i pogałem za gąsior. Ale skumałem, że nie to robię, co należy, widły cisnąłem, wracam. Powiadam:

- Tolik. Załupynos. Czy to ty?

A ty rozsuwasz ręce, o tak, i powiadasz:

- To ja, Dima, to ja. Ale już nie Załupynos zwyczajny, tylko Załupynos-Australijski, na cześć w tajemnicy uratowanego południowego kontynentu.

Wtedy mówię:

- No, to co tak stoimy? Wejdz. Ja tu, proszę ciebie, na promienne majowe święto nastawiłem brażkę...

A ty zdejmujesz kapelusz, dajesz go przewodniczącemu do potrzymania, wyjmujesz z kieszeni chromowany złotem grzebień, robisz sobie na głowie przedziałek i mówisz:

- Nie, Dima, to nie uchodzi. Ja tu tylko na pięć minut wpadłem, przejazdem... Ale, obywatelu przewodniczący, ja do KC partii zamelduję, na jakie uciążliwości i cierpienia, nieznanne na służbie wojskowej, narażeni są bohaterscy marynarze podwodnej floty mórz północnych.

A sam machasz ręką do szofera, a szofer w białych rękawiczkach wyskakuje z czajki, otwiera bagażnik i wyjmuje stamtąd dwa przeogromne pudła po regeneracjach. I słyhać jak w jednym szkło podzwania i bulki bulkają, a w drugim folia i papier nieprzemakalny szeleszcą. Agronom i partorg łapią jedno pudło i zamierzają do izby wnieść, a ty ich jednym ważkim słowem zatrzymujesz.

- O nie-e-e, obywatelu przewodniczący - powiadasz, Tolik. - Proszę to wziąć na swoją hacjendę-facjendę. Dmitrij Nikołajewicz od dziś tam mieszkać będzie. A wy szybciućko z rodziną, ale bez maneli, tu się przeprowadzajcie. Bo to całkiem oderwałeś się od narodu. Partia czego nas uczy? No, właśnie. Ech, kochany, otwórz no to pudełeczko...

I wyjmujesz za szyjkę dwie czarne butelki portweinu „Porto”, a z drugiego kartonu puszkę ostryg w śmietanie. Trąciliśmy się z tobą, wypili za Flotę Północną, za tych, co w rejsie, na wachcie i na hauptwachcie. Za admirała naszego Kabakowa, postać legendarną, szkoda, że niesłowną. W tym momencie mój gąsior załapał, że jak na razie nie pójdzie na zakąchę, i zbezczenił do cna. Wsunął dziób do pudła, połknął całą puchę kompotu z mango - i się zadławił. Potrząsamy nim, potrząsamy - ale pucha nie wychodzi. No to ty, Tolik, wyciągasz z kieszeni pistolet i walisz gąsiorowi bez celowania w lewe oko.

- Ech - powiadasz - ciągle nie mam czasu zapolować na gęsi w Acapulco.

Potem wyjmujesz z wewnętrznej kieszeni portmonetę. A ta ci, jak łódź podwodna - osiem sekcji, a w każdej waluta: angielskie funty, francuskie franki, marki wschodnio-niemieckie i zachodniemieckie,

holenderskie guldeny, meksykańskie peso z portretem Che Guevary, amerykańskie dolary, po oficjalnym kursie sześć kopiejek za sztukę... Oczywiście, przecież dyplomata do miejsca pracy musi przez cały szereg krajów jechać, a wszędzie pieniądze żądają... I pełna walicha naszych ojczystych, ukochanych czerwonych dyszek, przedzielonych grubymi warstwami pięćdziesiątek i setek.

- Oto - powiadasz ty, Tolik, i podajesz mi plik czerwonych, a jest ich tam z pięć, może sześć sztuk, albo i dziewięć - za poniesione straty...

A na odgłos wystrzału cała wieś się zbiegła! Stoją i patrzą, patrzą i płaczą...

No i jak skończyłem tak truć, to się nasz autonomiczny rejs skończył. Przyplływamy do ojczystej bazy, zatoka Jagielna, wiadomo - pirs, cumownicy, brzeg. Miasteczko oficerskie na wzgórzu... Stoimy sobie, czyściutcy, stroje przeciwpromienne pozdawaliśmy do magazynu, mundury regulaminowe wyprasowane... czekamy na kogoś. I nagle cumuje przy nas pępolej (znaczy łódź dieslowska; a zwą się tak, bo na dieslu olej wszędzie chlapie, a w pępku najchętniej się gromadzi; śpi się tam tak: prycza podwieszana, z prawej skrzynia z kartoflami, z lewej kompresor terkoce, pod głową torpeda cała w smarze...) i pyta:

- Chłopy, co dziś za dzień? Nic nie wiem, bo trzy tygodnie w stalowej trumnie...

My dajemy porcję zdrowego rechotu, albowiem byliśmy w morzu pół roku; my zaokrąglamy czas do tygodni, a i miesiący nie jesteśmy pewni.

Ale tu pojawia się przed frontem nasz dowódca, nasz kapzwiadu Połuborodkow, oczy okrągłe i zezują lekko, jakby walnął zamiast zwykłego spirtu salicylowy. Ale wolność, równość i braterstwo na brzegu się kończą, dlatego nie mówi nic sensownego, tylko klnie w najwykwintniejszy z możliwych sposób, a z tego steku powoli wyłania się nam takie zalecenie, że nie na autonomicznym raketowym podwodnym krążowniku powinniśmy służyć, ale na małym kabotażu, guano przewożąc w skorupie o wyporności nocnika arcybiskupa Canterbury, że on, kapitan, byłby szczęśliwszy, mając za załogę nie nas, tylko absolwentów Murmańskiej Szkoły dla Idiotów imienia Trzynastu Padłych Bojowników, i że na przepuchę to my wyjdziemy nie wcześniej niż nasz umiłowany przez lud spiker Igor Kiriłow złoży całemu narodowi radzieckiemu życzenia z okazji Nowego Roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, a najważniejszy państwowy zegar na Spasskiej Wieży Kremla nie potwierdzi słuszności jego życzeń ostatnim, dwunastym uderzeniem. I dociera powoli do nas, że na brzegu coś się musiało wydarzyć. Zaczynamy kombinować. Może zmienił się Sekretarz Generalny? Albo przegraliśmy wojnę z Chinami, bo oni zaczęli się całymi milionami poddawać? Albo komunizm o dziesięć lat za wcześniej ogłosili, wszyscy się podzielili po bratersku, a dla nas co zostało?

Dowódca robi pauzę, nabiera więcej oddechu, ogrzewa go płucami i ogłasza głosem bojowym, że ogłoszono ćwiczenia i mamy na odpoczynek dwie doby...

Omam nie doszło do załamania szyku.

Na samą myśl, że ojczystych koszar nawet nie pomacamy jak należy, że czadu kotłowego nie powąchamy, nie nagapimy się na żony kadry naszej - kolana się pod nami ugięły, a myślenie zbiorowe to w ogóle poszło w zapomnienie. No, bo niby wszystko dobrze na naszej łodzi: żarcie wysokogatunkowe, śpi człowiek w piórniku sam, wio koniku odchodzi do oporu, nie ma się kogo krępować, nie to co na unitarce, i stosunki zupełnie inne, nie takie, jak na brzegu: dowódca odzywa się z imienia i patronimiku, z szacunkiem, i człowiek do niego też tak; a jak tylko na brzeg zejdziemy: „Towarzyszu kapitanie, proszę o pozwolenie zwrócenia się?” „Nie pozwalam, poszedł mi won, gnoju!” - tak więc, powtarzam, mimo tego wszystkiego - jak się przychodzi z autonomicznego, ziemia jednak kochana, i nawet drut kolczasty dokoła bazy taki miłutki, że całowałby człowiek z języczkiem, a już na miasteczko oficerskie można by godzinami się gapić, jak samuraj na swoją Jokusukę.

A teraz co - dwa dni wydechu, i z powrotem na pokład, który przez ten czas nawet się dobrze nie przewietrzy. Dobrze przynajmniej, że nie ma ćwiczeń północnych, nie wpadło na to nasze szefostwo, wyobrażnia u nich jak u krokodyła: niuziutko, niziutko...

To ja tak sobie myślałem wtedy, naiwny.

Idziemy sobie do koszar, ja tam się wlokę, jak zawsze stare wojsko, na „cumie” czyli końcu, a na spotkanie nam idą chłopaki z brygady brzegowej - w kombinezonach zaolejonych, z pędzlami na ramionach - a za nimi ciężarówka pyrka z beczkami jugosłowiańskiej żółtej farby. Chłopaki rzą, ale jakoś tak dziwnie niepewnie. Rozkaz był, mówią, przemalować waszą łódź na wesoły, żółty, słoneczny kolor...

Myślicie, że im uwierzyliśmy? Akurat. U nas w marynarce uważano, że dzień jest stracony jeśli nie udało się jakoś bliźniego wpuścić w kanał.

Przechodzimy obok sztabu: na placu przed nim z palet zbijają ogromny pomost i już nawet zadaszli go za pomocą starej anteny radaru brzegowego, obciążonego brezentem. Znaczą się, artyści przyjadą, a z gabarytów pomostu sądząc - co najmniej zespół tańca z Syberii, gdzie wszyscy chłopacy i dziewczuchy po

dwa metry wzrostu, kiedyś widziałem ich u siebie, w Penzie... Oficerowie, oczywiście, ulokują się w pierwszym rzędzie, dziewczynom pod spódnicę zaglądać, a my, jak te sieroty, będziemy kontemplowali układ ogólny, choreograficzny.

Na i doszliśmy do kochanych naszych koszar. Patrzymy: obok gazetki ściennej „Arktyczne rubieże” wisi afisz, wykonany przez sztabowego artystę Marinowicza (ani on w czynnej rysować nie potrafił, ani do tej chwili się nie nauczył, ale o ile wtedy za bułgarskie fajki chłopakom dziargi robił, to teraz w Nowym Jorku za te same tatuaże miliony chapie! Nic nie rozumiem z tego naszego życia - ile w takim razie moja skóra jest warta?), a ten afisz ogłasza tak: *„Jutro, 2 sierpnia, wielki uroczysty koncert. Pierwsza część - występ Archangielskiego Kobiecego Ludowego Chóru. Druga część - wokalnoinstrumentalny zespół The Beatles. Początek o 18.00”*.

Oczywiście pośmialiśmy się i poszli dalej, ale miczman Załupynos-Australijski zmarł w zdumieniu i nie poruszał się tak z pół godziny. Potem podszedł do mnie - a myśmy się już ustawiali, żeby w szyku iść do stołówki.

- Ty - mówi - wierzysz czy nie?

- Wiesz, co - odpowiadam - jakbyśmy mieli wierzyć we wszystko, co piszą na płotach... Jeden uwierzył w napis, wsadził fiuta w dziurę po sęku, a tam drzazgi.

- Właśnie i ja tak sobie myślę, że to drzazgi - powiedział w zamyśleniu Tolik.

* * *

Na kolację polizaliśmy tradycyjnego prosiaka, a rano zaczęła się zadyma. Kurczę, jakby na przyjazd ministra obrony. Wysypywanie ścieżek, bielenie kamieni i zielenienie trawy. Marinowicz z pomocnikiem transparent rozciągają, białe litery na czerwonym: *„Welcome The Beatles!!!”*, a poniżej, drobniejszymi literkami i po rosyjsku: *„Braterskie pozdrowienie dla uczestników ruchu przeciwko wojnie w Wietnamie i za pokój na całym świecie od podwodniaków Floty Północnej!”*. Brama została pomalowana błękitną olejną, gołębie pokoju z szablonu odnowiono na jej wierzejach. My też coś malowaliśmy, coś nosiliśmy, i oficerowie z nami nosili, jak równi - i dlatego zaczęliśmy nagle wątpić w mijającą właśnie chwilę.

Ale rozmowy nie wiadomo czemu błądziły tylko przy tym żeńskim chórze. Ile ich tam jest, jakie dziewczuchy oczka mają, i że znowu wszystkie oficerowie przechwyca... Mieliśmy przecież doświadczenie w dziedzinie przyjmowania artystów, nie ma co się czaić. Josif Kobzon przyjeżdżał do nas, Magomajew Muslim, zespół „Akord” ze swoim szlagierem o pingwinach. No i chóry różniste, cały ich - jak to piszą w jadłospisach - asortyment. Tyle że o ile w dzień nawet nas przypisywali do artystów, celem zaspokajania ich potrzeb, to o jedenastej, po komendzie „capstryk”, wszystkie nasze marynarskie zachciewajki były ucinane, albowiem w dziedzinie szybkostrzelnej kurtuazji oficerowie marynarki nie mają sobie równych już od czasów Piotra Wielkiego. Nieraz zdarzały się takie przypadki, kiedy kawaler oficer - podwodniak w sobotę walił do Leningradu, a w poniedziałek przed apelem meldował się na miejscu z młodą, jeszcze osołomioną żoną pod pachą i pieczętką w dowodzie.

I oto tak po obiedzie pojawia się kolumna samochodów: gazik drogówki wojskowej z kogutem i wiadrem do przeklinania w trybie akustycznym na dachu, a za nim trzy autobusy z czymś kolorowym w środku. Podjeżdża towarzystwo do hotelu, wyładowują się... My, wiadomo, możliwie blisko się zgrupowaliśmy, żeby na dziewczyny żywe popatrzeć - ale wyszło z tego wielkie rozczarowanie, ponieważ najmłodsza chórzystka pewnie jeszcze narodowolców zesłanych nieprzyzwoitymi czastuszkami pocieszała. Dzień zwiądnął, i prowadziliśmy dalsze przygotowania bazy bez cienia już entuzjazmu...

No i, oczywiście, żadnych Bitelsów w tych autobusach nie było.

Zaczął się koncert. Ustawily się babusie, chusteczki na głowach zawiązały. Wyszedł pompolit we fraku, zagaja:

- Przed nami chór kobiecy z kondołogskiego powiatu województwa archangielskiego! Laureat wszechrosyjskiego przeglądu artystycznej działalności amatorskiej, posiadacz nagrody specjalnej Europejskiego Festiwalu Twórczości Ludowej w Ruanie! Pieśń o Iwanie!. - Machnął ręką, a babunie dały:

*Co tam zekli o Iwanie,
ze ma konika carnego?
Nie carnego, nie carnego
a chudego, taj rudego.*

*Co tam zekli o Iwanie,
ze ma sanki sybkie?*

*Oj, nie sybkie, oj, nie sybkie -
rozwalajo mu się.*

*Rozwalajo, rozwalajo,
a i te nie jego.
Ludzie wyrzucili,
błotem obzucili.*

*Co tam zekli o Iwanie,
ze ma zonke piękno.
Oj nie piękno, oj, nie piękno
garbata i krościata.*

*Pyscek majak kotka,
łocka ma jak piesek.
Jak piesek ma łocy,
a głowę jak konik!..*

Ja dziękuję! Widzę - Tolik zapada się w siebie. No, bo masz ci „Girl, girl!” - a tu głowa jak konik... No, dobra, zapodały babusie jeszcze coś takiego podniecającego, z przytupem i przyklaskiem, a potem wyszła ichnia solistka i zaśpiewała o Ilji Muromcu. Och, sądzę, że heros nie żył tak długo, ile ona śpiewała...

Ale nawet największa buchtą liny na swój koniec, jak mawiał nasz miczman Łopato. A on się na tym znał jak mało kto, ponieważ miał doświadczenie, że daj Boże! Zaczynał służbę na wyspie Minus, gdzie cały garnizon to było sześciu marynarzy i mat. A służyło się wtedy w marynarce po siedem lat. I oto pewnego dnia jeden z rezerwistów doczekał swego dnia, a na zmianę przysłali młodego Łopato, od razu po unitarce. A oddziałem tam jego dowodził kap-zwiadu Jachont Jefimowicz Narużnyj, który utopił dwie łodzie podwodne pod rząd. No, o Narużnym to inna opowieść, smutniejsza od „Romea i Julii”. Tak. No więc przybył młodzieńki szczawiowaty marynarzyk na zamieszkałą wyspę... Wiadomo - od razu go do kuchni. I jak myślicie? Poszedł uroczyście na pierwszy przydział i skiepscił. Źle wymył naczynia, czym doprowadził do szału całą ludność wyspy. Został natychmiast aresztowany, posadzony do komórki z linami, przesiadzał tam całą noc. Rano wychodzi, wszyscy ponurzy. Mat przy biurku siedzi, nie patrzy na nikogo. Papier do siebie jakiś przysuwa, czyta:

„Protokół spisu. Komisja w składzie takim to a takim, pod przewodnictwem takiego a takiego, rozpatrzyła sprawę o przewinieniu marynarza Łopato, który niechlujnym myciem naczyń doprowadził garnizon wyspy Minus na granice epidemii żołądkowo-jelitowej, przez co naraził na niebezpieczeństwo całe państwo. Komisja postanawia: z powodu niechlujstwa marynarza Łopato spisać wyżej wymienionego ze stanu garnizonu. Sposób spisania: odstrzał z karabinu Smirnowa AKS kalibru 7,62. Wydać dwa naboje celem wystrzału odstrzałowego i kontrolnego. Z powodu niepogody na pirsie odstrzał zostanie wykonany jutro. Podpisy przewodniczącego i członków komisji poniżej...”

Niczego innego od władzy radzieckiej Łopato i nie oczekiwał. Odprowadzili go z powrotem do komórki. Dali papier, ołówek - pisz, powiedzieli, listy.

I Łopato zaczął pisać. Napisał do rodziców, do sióstr, sąsiadki Fieńki, którą kiedyś podglądał podczas kąpieli w rzeczce, i nawet do jałówki jednej, Gwiazdeczki, nazwanej tak na cześć psa-kosmonauty. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego akurat przed Gwiazdką czuł się winny za to, że ją witką smagał podczas wypasu. W sumie wysmarował ze dwadzieścia tych listów.

Rano wyprowadzono go na pirs. Śnieg wisiał nad głowami. Ocean był szary jak ojczysta rozmiękła ziemia.

Zaproponowano mu, że zawiążą mu oczy, ale on się tylko odwrócił. Kiedy z tyłu huknął strzał, zmrużył oczy, a potem ostrożnie je otworzył. Padał mokry, ciężki śnieg. Tu jest tak samo, pomyślał Łopato.

Potem huknęło jeszcze raz. Teraz Łopato nawet nie zamknął oczu.

Kiedy prowadzono go z powrotem, długo jeszcze nie wierzył, że żyje. Ale mat, ciągle siedząc przy biurku, powiedział, że według regulaminu, jeśli naboje zostały zużyte, a spisywany jakiegoś powodu nie został spisany, to musi w ciągu roku odbywać służbę tam, gdzie popełnił wykroczenie, w danym wypadku w kuchni...

Cały rok Łopato, szczęśliwy jak marchew w sałatce, utrzymywał kuchnię w niewypowiedzianej czystości. A jak gotował!.. Wieczorami zaś, w wolnym od wacht czasie, ludność wyspy Minus na głos, z uczuciem, czytała jego listy do domu. List do Gwiazdki cieszył się szczególnym powodzeniem...

Oto jak zmuszeni są ludzie walczyć z nudą tam, gdzie źle działa kao.

W antrakcie pada rozkaz: przespacerować się na siódmy pirs. Akurat tam nasz „Komsomolec Mordowii” był przycumowany. Ustawiliśmy się, idziemy. Ja znowu idę na końcu, popalam, i tego, co widzą ci z przodu, nie widzę, ale jakiś gwar do mnie dotarł. Och, jaki gwar!

I w końcu i ja zobaczyłem na własne oczy, i dodałem do tego gwaru swoją basową nutę.

Łśni nasz „Komsomolec Mordowii” żółtą fluorescencyjną farbą, i wszystko dokoła ma ten słoneczny odbłask, a czarne jego sąsiadki z powodu kontrastu wydają się już nie tylko czarne, ale nienormalnie czarne... W sumie wygląda jak chiński imperator w złotym szlafroku, który postanowił poleżeć sobie w upalny dzień na murzyńskiej plaży w uciskanym Harlemie. Tu pada rozkaz „Rrrawoatrz - aczność!”, orkiestra wali „Powitalny marsz”, i z nadbudówki wychodzi i zaczyna schodzić na pomost czwórka długowłosych chłopaków w kwiecistych marynareczkach, trzech ma gitary w rękę, a czwarty jakimiś grzechotkami potrząsa, potknął się na trapie i mało nie walnął do wody, ale się utrzymał.

I oto co jest w tym interesujące: wszystko widzę na własne oczy, ale wierzę w to coraz mniej i mniej. No, przecież nie może to być, ponieważ to być nie może w życiu.

A za nimi wychodzi nasz admirał Kabakow, postać legendarna, i świeci się jeszcze bardziej niż ta nasza łódź, w białym paradnym mundurze, a brodę ma na dwie części rozczesaną, jak kompozytor Rimski-Korsakow. A my bez rozkazu zaczynamy się drzeć „Huraaa!”, a to huraaa idzie takimi ładnymi falami, jakie na próbach przed paradami nigdy nam nie wychodziły. Drzemy się wszyscy, prócz Tolika, który stoi bładny, wargi zacisnął, a po policzkach łzy mu płyną. A admirał podszedł do niego, wyjął chusteczkę pachnącą wodą kolońską „Chypre”, i własnoręcznie łzy mu otarł.

- Tak to, synku - powiedział, i chciał jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał. Nie lubił zbędnych słów i kropka.

* * *

Miejsce dostało mi się najlepsze - zaraz po Toliku i admirał, oni w pierwszym rzędzie siedzieli, na środeczku; a ja wysłałem kotów na boisko do siatkówki i kazałem przytargać dla siebie krzeselko na wieżycze dla sędziego, co zostało wykonane w abcugach. Zazdrośni oficerowie zaczęli kręcić się na swoich ławkach i krzesłach, ale co - oficerów dużo, a wieżyczka jedna... A jeszcze tak cwanie czas dobrałem, że już nie mogli się wyklócać o swoje prawa: Bitelsi objawili się.

Ale przed nimi wyszedł, oczywiście, znany w całej Północnej Flocie gościu, mój rówieśnik, co się jak i oni nazywał, Wadim Żuk, który cierpiał służbę przy sztobie w oddziale kao. Zajęcie miał czyste i ważne: wozić artystów po bazach i okrętach, zabezpieczać załogom odpowiednie widowiska, a występującym - odpowiedni chlebek: kieliszek koniaku przed i papieroska po.

Odziany był Wadim jak należy: oficerski galowy bez oznak i mucha. Wtedy po raz pierwszy widziałem na żywo muchę i strasznie je od tej pory lubię. A Wadim taką manierą znanego wszystkim Buby Kastorskiego uklonił się i zapodał:

- Towarzysze północnomorzanie! Marynarze, podoficerowie, oficerowie i admirałowie! Jak powiedział poeta: „Pamiętasz, jak w zatoce naszej spała zielona woda, gdy w kolumnie kilwateru weszły cztery okręty. Cztery szare...” Tak!!! Właśnie cztery, czterej flagowi współczesnej burżuazyjnej sztuki, kowboje powodzenia, przodownicy estrady. Na naszej scenie z pierwszym i jedynym koncertem za kręgiem polarnym - herosi walki o pokój na całym świecie, mamuty kontrpunktu, owoce robotniczych dzielnic proletariackiego Liverpoolu - wokalno-instrumentalny zespół The Beatles!!! Pierwszy i najważniejszy utwór dzisiejszego koncertu - „Żółta łódź podwodna”. Krótkie streszczenie tekstu: „W naszym mieście jest pełno marynarzy, i wszyscy oni na wyścigi opowiadają o swojej bohaterskiej służbie na łodziach podwodnych. I my z pierwszymi promieniami słońca zaczynamy wyobrażać sobie, że jesteśmy załogą żółtej podwodnej łodzi...”

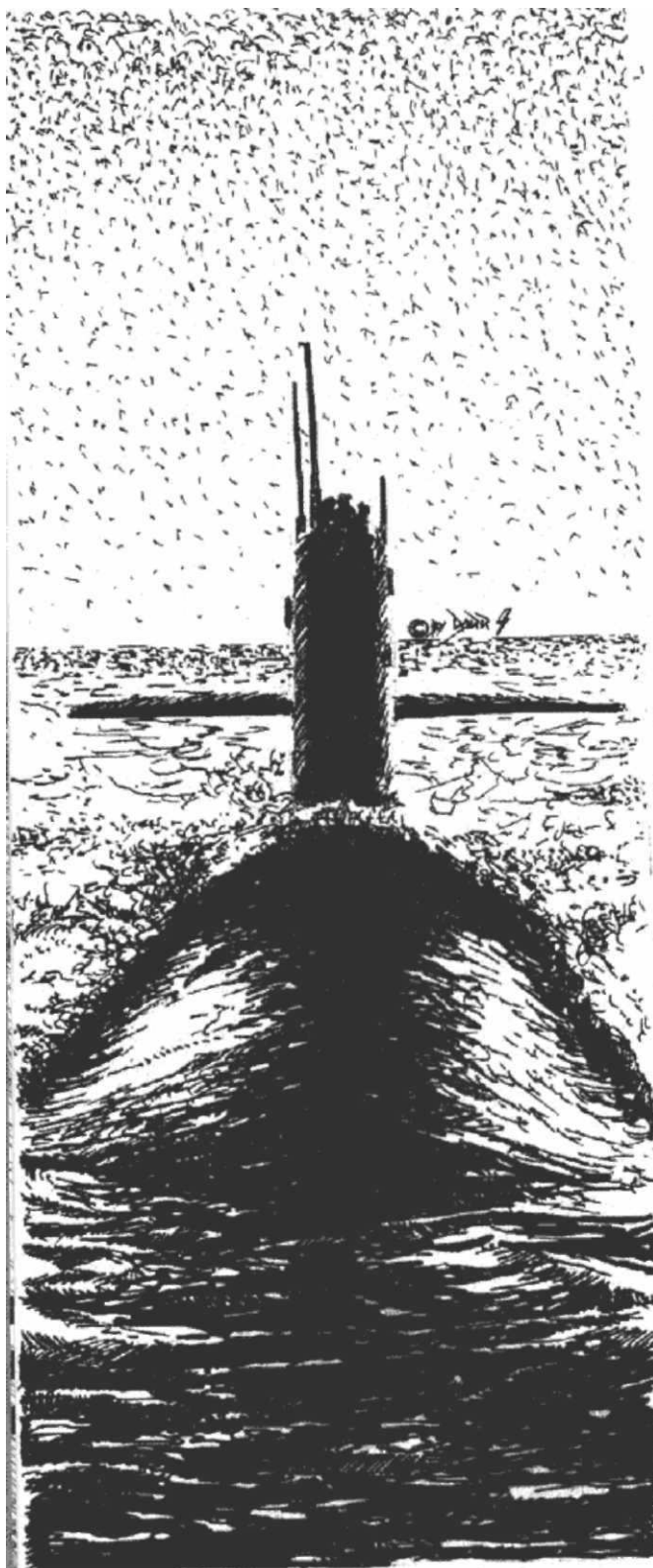
I chłopaki zaśpiewały.

...Kiedy się ocknęliśmy, była już północ. Ja z góry widziałem, jak błyszczą w promieniach reflektorów butelki, ich denka wznoszone były wysoko, no bo i ostatnie to już były krople, i tylko tak można je było wycedzić, a w jakiejś takiej malignie zobaczyłem, że to połyskuje ciągle ta sama, niewyczerpana butelka, która obsługuje i salę, i scenę, i odchodzi na odpoczynek, albo żeby obsłużyć tych, co ich z nami nie ma (w rejsie, na wachtach, na hauptwachtach...), i wraca, jak bumerang... Nie, chłopcy, żeby odtworzyć całą tę scenę,

trzeba by was wszystkich znowu zebrać w tym miejscu, a i dodać doświadczonego starszawego śledczego z prokuratury wojskowej, który by potrafił strzępy naszych wspomnień złączyć w całość...

Ale czy komuś to potrzebne?

„Żółtą łódź podwodną” wykonywali z pięć razy, a może nawet i dziesięć. Wywoływaliśmy ich na bisy,



podczas wypasu... W sumie wysmarował ze podśpiewywaliśmy, w biegu zmieniając tekst na rosyjski. I pociągnęło nas w morze... A to jeszcze był słaby ciąg.

Nagle okazało się, że nie siedzę na wieżycze sam. Obok mnie siedzi jakaś smarkula chuda, piąstkami w barierkę wali, płacze, piszczy jakoś nie po naszemu. Jakiś czas udawało mi się ją uciszyć za pomocą butelki, chciałem piosenki do końca wysłuchać. A ta flachę z ust wyjęła, splunęła i gapi się na mnie, jakby nigdy marynarza północnomorzanina nie widziała. Potem się rozuśmiechała, chwyciła mnie za wstążki na czapce i zawiązała starannie pod brodą, żebym nie mógł kłapać gębą.

No i się dogadaliśmy. Miała na imię Dajana, pochodziła z Birmingham, a jej ojciec był fotografem. Ona i dziesiątka jeszcze takich samych idiotek wędrowały za Bitelsami po całym świecie, uczestnicząc we wszystkich koncertach. Oni tam granic i bileterów widać nie mają. I wielu innych rzeczy. Na przykład, od razu sama usiadła mi na kolanach, a ja sobie myślę: żeby tylko się nie popisać sterczem... Ale nie o to szło: tak jej po prostu było lepiej widać, i to wszystko. Zapytała mnie jeszcze, czy nie jestem przypadkiem księciem, i wyjaśniła, że skoro Bitelsi wszyscy już tacy żonaci, to ona wyjdzie za mąż tylko za księcia...

Pod koniec nie wiadomo dlaczego zaczęło mi się wydawać, że Żuk pojawia się we fraku naciągniętym na długą do kolan marynarską koszulkę w paski - i bosy. Sam Żuk, wiadomo, potem gadał, że nic takiego nie miało miejsca i nie mogło mieć miejsca (to samo i wam powie), ale potem dowiedziałem się skądinąd, że on się założył z bosmanem Trembą o dwie puszkę skondensowanego mleka, że właśnie w takim stanie skończy koncert. I skończył. Długo przyglądał się obecnym, potem wyprostował wąsy i rzekł:

- T-tańszą szys-sy! Panie prósz panf... - I zaległ. Sztabiści, nie mają klasy...

Na przysługującą według protokołu skromną przyjacielską kolację niższe szarże nie były proszone, a i miczmiani byli obecni tylko w osobie Załupynosa-Australijskiego. A my, szara masa, pomaszzerowaliśmy odrętwiali do koszar, do-kuśtykaliśmy jakoś do łóżek i zwaliliśmy się na nie jak podcięte dęby, powalone jednym i tym samym piorunem. I śniło mi się nie wiadomo dlaczego, że do naszych północnych staruszek zostałem oddelegowany jako chórmistrz, i miałem wyćwiczyć z nimi w bardzo krótkim czasie „Lot trzmiela” Rimskiego-Korsakowa na wiolonczelę z orkiestrą. Staruszki wokalnie naśladowały brzęczenie, a potem wyszła jedna, najchudsza, co się zwała Bagationa Stiepanowna, i zatrąbiła swoim gardłem. Tak głośno trąbiła, że się poderwałem.

Trębacz grał pobudkę. Przy czym pobudka płynnie przechodziła mu w taniec-hopak z „Iwana Susanina” i z powrotem.

Kiedy grają pobudkę, ciało samo się ubiera.

Obudziłem się na pokładzie swojej łodzi podwodnej. Trzymałem w ręku nóż szewski, którym wycinałem coś z cienkiego kartonu. Na stole stało pudełko z gwaszem i szara puszka po ochrze, w której zazwyczaj myłem pędzle. Ale dzisiaj z tej puszki nie wiem czemu co jakiś czas popijałem.

Chyba był w niej spirytus.

W tym momencie pojawił się Tolik. Przyniósł zdjęcia.

- O - powiada - masz tu swojego Lennona. Zacząłem je oglądać. Dobra jakość, robione z fleszem.

John był raz sam, raz w towarzystwie kumpli, i w „tielniaszce”, czyli marynarskiej koszulce w paski, i w mundurze admirała, i objęty z jakimiś wesołymi kudłatymi dziewczuchami, w których po chwili wysiłku można było poznać oficerskie żony.

- A - powiadam ja. - Ale ja coś od tej nitro ześwirowałem.

- Jakie nitro? - pyta Tolik. - Gdzie ty tu nitro widzisz? Powąchałem album i sam się zdziwiłem. Musiała być farba nitro, skoro łeb taki żeliwny. A tu ci mój Tolik się rozplakał.

- *Naszco meni ci żytja?* - powiedział po ukraińsku. - *Koły mriji bilisz nemaje...*

Że niby bez marzenia nie ma po co dłużej żyć.

Tak - wtóruję mu. - *Liudyne zawždy mija potribna. A MPIMO?*

- MPIMO... - szlocha on - *MPIMO to tilki czczob batka ne żurytsia, szczob diwki kochały. A bitty - ot ce buła mrija...*

No tak, MPIMO dla ojca i dziewczyn, a Bitelsi to marzenie...

Potem wyjmuję z kieszeni kawałek chleba pszennego i zaczyna kruszyć na stół, i dwa wróble zaczynają dziobać te okruchy.

- Ty - pytam - co robisz? Przecież zabrudzą moją pracę.

- Niech jedzą, ptaszęta Boże, nie przeszkadzaj... Machnąłem ręką i poszedłem się przewietrzyć.

Jasny był dzień, ocean zielony jak oczy bagiennej ślicznotki, za nadbudówką siedzą sobie wolni od wachty marynarze, dziewczyny-fanatyczki, babusie -chórzystki - i liwepulska czwórka, część ma gitary w rękę, część kompot z ananasów; Ringo na pustym garnku rytm wybija... I pali każdy, kto tylko ma ochotę. I dopiero dociera do mnie, że płynie po powierzchni.

No bo z paleniem to na łodzi podwodnej trochę skomplikowana sprawa.

No więc stoję sobie jak ten Puszkina, oparty o reling, słucham fajnej piosenki, co to ją śpiewają babusie, a pomagają Bitelsi.

Po łące, po łące, po łące, po zielonej łące,

Chadzała, spacerowała jałoweczka czarna, Jałoweczka czarna, a wymię białutkie, Jak zobaczył tę jałówkę igumen przez okno, Wysyła ci on, posyła rudego diakona Idź, mój sługo, przyprowadź jałówkę, Ale chwytaj za boki, byś mleka nie psował...

Potem, kiedy już płynęliśmy pod lodami, kiedy w sraczu czyściłem oszołomionego Johna szczoteczką do zębów, to on mówił, smutny, że integracja z tymi leciwymi lady dała mu więcej niż wszystkie lekcje u Maharishi i Ravi Shankara.

* * *

Tymczasem ciągle nie mogłem zakończyć swojego albumu rezerwisty, chociaż nawet minuty nie spałem, a przecież każdy odchodzący taki album musowo ma. Chciałem w nim wyrazić całą pełnię uczuć, które przepełniały mnie w tym czasie. Były w tym albumie i kwiaty z mnóstwa widokówek, przysłanych przez chłopaków z różnych krain naszej bezgranicznej ojczyzny, były wycięte z „Ogon'ka” i „Sowietskiego Ekranu” portrety gimnastyczki Ludmiły Turiszczewej, aktorki Natalii Warlej, francuskiej piosenkarki Mirelle Mathieu, Edyty Piechy, Claudii Cardinale w towarzystwie Jurija Wizbora na tle czerwonego namiotu, Mariny Vlady i jeszcze kilku innych godnych kobiet, które, według ówczesnych moich poglądów (a od tamtej pory niemal nie podległy dewiacjom) nadawały się na żonę dla Johna Lennona o wiele bardziej niż ta chudziutka zezowata Japonka (nawiasem mówiąc, gdzie ona się podziewała w czasie naszego rejsu - nie mam pojęcia. Ale na łodzi prawie na pewno jej nie było)...

Zresztą, co do tego, kto był na łodzi, a kogo nie było, wszyscy potem mieli pewne wąty. Powiedzmy, silnikowcy twierdzili, że u nich w sekcji siedział (i leżał) sam Wosocki, pił z nimi spirt i komponował piosenki o podwodniakach. A dwa sine pępoleje szwendały się po pokładach i szukały kilku zagubionych worków suchego kompotu...

Były też w albumie portrety słynnych podwodniarzy: Marinesco, następnie Gadzijewa, Kołyszczina... Ostatnią stroną albumu zajmowało zdjęcie całej postaci Lennona w pełnym galowym mundurze, z baletką w lewej ręce i gitarą za plecami, a w tle widniała typowa smutna liwerpulska chatka i starutka matka, oczekująca powrotu syna ze służby.

Po korytarzach i trapach z częstotliwością i szybkością czółenka w mechanicznych krosnach snuł się admirał Kabakow, postać legendarna, raz w towarzystwie, raz podczas ucieczki przed dziewczynami-fanatyczkami. Jakiś żartowniś nauczył je jednego rosyjskiego zdania: „Czy twój sztylecik nie ma ochoty popsuć dziewczynskiej cnoty?”, które kierowały wyłącznie do admirała.

I za każdym rogiem, za każdymi drzwiami - wszędzie znajduje się nasz zaskoczony Łopato, spisany niegdyś w protokole, i usiłuje policzyć kanistry ze spirtem i bez onego, i ciągle mu się coś nie zgadza.

Ale spirytus spirytusem, a godzina szkolenia politycznego to godzina szkolenia politycznego - czyli codziennie.

Najpierw Bitelsi „politczas” olewali, i jakoś im to uchodziło na sucho. Ale bez nich zastępca do spraw politycznych zachowuje się jakoś nie tak. Albo opowiada nam o projekcie przesiedlenia pingwinów do Arktyki, na który wpadł jeszcze towarzysz Papanin, ale pokonanie kultu jednostki poplątało mu plany, a woluntaryzm, powstały jako następstwo kultu, położył wszystkiemu definitywny koniec. Albo - perorował o planach amerykańskich imperialistów wyposażenia swoich łodzi podwodnych w specjalny napęd, skonstruowany przez niegdyś zbiegłego denikińskiego pułkownika Karla Ludwigitza Dina, który to napęd pozwala złamać prawo powszechnego ciężenia bez żadnych konsekwencji dla łamiącego, przez co ich atomowa flota będzie w stanie zawojować przestrzeń kosmiczną i planety Układu Słonecznego. A kiedy Bitelsi pojawili się na „politczasie”, to jako temat podał „Zen-buddyzm - położną japońskiego militarysty i chińskiego ekspansjonizmu”. Tyle że nic mu z tego nie wyszło, ponieważ Bitelsi zachowywali się rozważnie, a podobna do nauczycielki Linda wstała i oświadczyła, że książka „Kamasutra” w ogóle nie ma żadnego związku z zen-buddyzmem, militarystą, a chiński ekspansjonizm ma korzenie w sobie i innych pomocach naukowych. Dlatego zaczęli śpiewać, a my im pomagaliśmy: „Wszyscy lubimy pastę Pomorin, pastę Pomorin, pastę Pomorin...”

No i dośpiewaliśmy się. Odwołano „politczas” na okres całego naszego rejsu. Takiego czegoś nie było nigdy wcześniej i nigdy później! A skoro nie ma „politczasu” to, chłopcy, cała dyscyplina jakby przestaje być obecna. No i wtedy, jak powiada klasyk, wszystko „zaczęło się kręcić...” Kiedy wynurzaliśmy się na biegunie, wielu widziało zorzę polarną, chociaż był to dzień - i wyjątkowo zachmurzony.

Mówił mi potem Tolik, że Lennon, łamiąc zakaz, kurzył w kajucie, a ponieważ kurzył wcale nie tytoń, to przez system wentylacji my też mogliśmy uczestniczyć w komunii...

Ale serio: zaczęliśmy dochodzić do siebie już po Liverpoolu. Inna sprawa, że spirt się skończył, w końcu Łopato doliczył się kanistrów. Ale w zamian utracił nadmuchiwaną tratwę ratunkową TNR. Cośmy się namęczyli, tłumacząc mu, że sam osobiście Ringo Starowi tę tratwę podarował - nie zamierzał Łopato przyjmować tego do wiadomości.

A ja akurat to dobrze pamiętam: noc, a może późny wieczór, mnóstwo świateł na brzegu i woda lśni, aż się wydaje, że tratwa płynie po ognikach... Dziewczyny-fanatyczki wiosłują, wiosłują i płaczą, a chłopaki śpiewają - bez akompaniamentu prawie, tylko George na akustycznej gitarze gra, Ringo cichutko na nadmuchiwanej burcie rytm wystukuje, i płynie pieśń:

*...And our friends are all on board,
many more of them live next door,
And the band begins to play.*

*We all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine.
We all live in a yellow submarine,
yellow submarine, yellow submarine.*

I nagle przypomniałem sobie: album! Zapomniałem o albumie! A chciałem mu go podarować! Rzuciłem się do luku, wałę trapem w dół, do pierwszej sekcji, do kubryku, chwytam, pędzę nazad tą samą drogą, rzuciłem buty w bieg, rozebrałem się...

Dość daleko już odплыли. Dobrze, że dziewczyny wiosłowały tak sobie, a i tratwa do wyścigów nie jest przeznaczona. Woda ciepłutka...

Dogoniłem ich, chwyciłem za reling:

- John! - podaję mu.

Objąłem się jeszcze na pożegnanie ze wszystkimi, wysuwając z wody do połowy, jak rusał jakiś... I popłynąłem z powrotem, już na plecach. Przyglądam się gwiazdozbiorom znajomym... Liverpool, macie, chłopcy, pojęcie, a gwiazdy te same.

Przypłynąłem i natychmiast poszliśmy w zanurzenie.

No, to by było właściwie na tyle. Oczywiście - zabroniono nam rozgłaszania tego, jak i całej reszty... Powiedzmy tego, jak się nazywa wręga „4-C”, co to są „ciężkie siły”, czy ile łódź ma załogi...

A i my sami, uwierzcie mi, po jakimś czasie jakoś tak przestaliśmy w to, co się stało, wierzyć. Jakby przyśniło się coś kolektywnie, i już. A potem inne rzeczy stały się ważniejsze. Na przykład ta K-33... jak potem wywrotką z koszar wszystkie osobiste rzeczy chłopaków wywożono...

Spotkałem kilka lat temu Żuka Wadima, ucieszyliśmy się, koniaczku popili - ale o koncercie żaden z nas ani nie wspomniał. Teraz też bym nie wspomniał, jakby nie ten, kurdemol, Sotheby's...

No i na tratwie nie było Japonki, żeby zdechł. Przecież całowałem się tam ze wszystkimi... Nie było. A gdzie była - nikt do tej pory nie wie. A mnie, jeśli mam być szczerzy, nawet to nie interesuje. Ale że ten album mi sprzed nosa uciekł - to mi żal. Drugi raz taka okazja się nie pojawi.

Na wewnętrznej stronie okładki jest zdjęcie grupowe, jakbyście chcieli wiedzieć - ja jestem trzeci od lewej...

Przekład EuGeniusz Dębski